



Porucznik KAZIMIERZ PRZYMUSIŃSKI

# **OKRUCHY WSPOMNIENI**

młodego partyzanta z okresu działalności  
w Ruchu Oporu, 1/1 psp AK, VII 1944 - II 1945 r.

## **WYDAWCA**

Starostwo Powiatowe w Legionowie  
ul. gen. Władysława Sikorskiego 11  
05-119 Legionowo  
tel. 22 7640 505  
promocja@powiat-legionowski.pl  
www.powiat-legionowski.pl



ISBN: 978-83-951739-4-3

Projekt i skład Agnieszka Matusiak-Ziółkowska  
Projekt okładki Monika Kosewska  
Korekta Joanna Kajdanowicz

Nakład: 300 egz.  
Wydanie pierwsze 2020 r.

## **PODZIĘKOWANIA OD WYDAWCY**

Serdecznie dziękujemy za pomoc w przygotowaniu niniejszej publikacji do wydania księdzu Leonowi Królczykowi – proboszczowi parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szczawie, który pomógł nam w kontakcie z posiadaczami zdjęć archiwalnych, wykorzystanych w książce i panu Markowi Zapale, bratankowi Juliana Zapaly ps. „Lampart” – dowódcy 4. Batalionu 1 psp AK, który udostępnił zdjęcia archiwalne ze swoich zbiorów na potrzeby wykorzystania w książce oraz wsparł nas swoją rozległą wiedzą historyczną, uzupełniając niniejszą publikację o ważne szczegóły.

Druk sfinansowany przez Powiat Legionowski





Fot. Kazimierz Przymusiński, zdjęcie archiwalne



*Pamiętnik ten dedykuję  
mojej wspaniałej żonie Hani,  
która włożyła dużo energii i determinacji,  
aby ta książka ujrziała światło dzienne.*

## **PODZIĘKOWANIA OD AUTORA**

Specjalne podziękowania należą się niżej wymienionym osobom, które pomogły mi w wydaniu tej książki:

Panu Sylwestrowi Sokolnickiemu – Staroście Legionowskiemu  
Joli i Staszce Łuczowskiemu

Dr. Dawidowi Golikowi – historykowi IPN w Krakowie

Panu Sławomirowi Maciejowi Mazurowi – Wójtowi Gminy Nieporęt

Panu Romanowi Smogorzewskiemu – Prezydentowi Miasta Legionowo  
i wielu innym osobom, które przyczyniły się do jej wydania.



Jarocin to miasto mojego urodzenia. Wielkopolska. Jest rok 1927. Zima ma się dobrze i jeszcze długo będzie mi towarzyszyła, małemu. Jest dokładnie 5 lutego 1927 roku. Mama Katarzyna i Ojciec Stefan Przymusińscy są bardzo szczęśliwi z narodzin syna. Rok 1927 obfitował w wiele ważnych wydarzeń i aby nadać kontekst moim urodzinom, należy również przypomnieć, co ważnego miało miejsce w Polsce: Rozgłośnia Polskiego Radia w Krakowie jako druga w Polsce po Warszawie, rozpoczęła emisję programów. W Zakopanem odbyły się międzynarodowe narciarskie mistrzostwa, miała miejsce pierwsza bezpośrednia relacja sportowa w historii polskiej radiofonii. Mazurek Dąbrowskiego został oficjalnie polskim hymnem narodowym.



Trwa już piąty rok wojny. Mam 17 lat i wspólnie z rodziną mieszkamy w pięknej miejscowości Kamienica koło Łącka, położonej w Beskidzie Wyspowym. Zawierucha wojenna zaprowadziła Rodziców i mnie w te właśnie strony. W okresie II wojny światowej Kamienica stanowiła ośrodek działań partyzanckich. W odwecie hitlerowcy odpowiadali szeregiem obław i pacyfikacji (aż 18-krotnie). W 1944 roku wykonano tu zbiorową egzekucję za aktywne wspieranie oddziałów AK. Wieś została odznaczona w 1986 r. Orderem Krzyża Grunwaldu III klasy za walkę z okupantem hitlerowskim w czasie II wojny światowej.

Miejscowość ta zamieszkała jest przez Białych Górali. Górale Łąccy także górale Łącko-Kamienicy to ludność zamieszkująca teren, na którym stykają się trzy rozległe pasma górskie: Beskidu Wyspowego, Beskidu Sądeckiego i Gorców. W okolicy królują

najwyższe szczyty Gorców: Turbacz (1310), niedaleko Gorc (1228), Kudłoń (1276), Jaworzyna Kamienicka - (1288) i Modyń (1029). Te pamiętam najlepiej, ale były też inne. Jak zwykle nasz umysł i nasza pamięć pozostawia nam najważniejsze wydarzenia z wielką jasnością.

Jest 30 lipca 1944 roku. Było wyjątkowo słoneczne lato i piękny lipiec. Słońce zalewało góry. Pogoda nie ma nic wspólnego z niepokojem, który panuje pośród mieszkańców i nas przybyszów. Jest to mieszanina lęku, podniecenia i niepewności. Miało się uczucie, że coś wisi w powietrzu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to będzie pamiętny dzień.

Od kilku dni ludzie przekazują sobie różne wieści, w tym o atakach partyzantów na posterunki Wehrmachtu, czyli niemieckie siły zbrojne<sup>1</sup>. Atakowane są też posterunki tak zwanej „granatowej policji”. Dla młodszego czytelnika: pełna nazwa to Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa. Została ona powołana 17 grudnia w 1939 roku na ziemiach polskich, na podstawie rozporządzenia Generalnego Gubernatora Hansa Franka.

Partyzanci rozbijają hitlerowców w miejscowościach w sąsiednich powiatach. Razem z kilkoma kolegami wybraliśmy się na spacer. Idziemy wzdłuż rzeki Kamienica i natykamy się na kilku uzbrojonych mężczyzn. Zbliżyliśmy się do nich, są przyjaźnie nastawieni. Rozmawiamy z nimi i z tej rozmowy wynika, że szykuje się jakaś akcja zbrojna przeciwko garnizonowi niemieckiemu. Garnizon stacjonuje tutaj już od około roku. W związku z tym, że

1. Dla młodszych czytelników moich wspomnień, dla których II Wojna Światowa jest bardzo odległym czasem, jeszcze kilka zdań o Wehrmachcie. Była to całość sił zbrojnych III Rzeszy z wyłączeniem Waffen-SS, utworzona 16 marca 1935 roku, ustawą o powszechnym obowiązku służby wojskowej, która stanowiła jednostronne zerwanie klauzul militarnych traktatu wersalskiego (1919 r.). Wehrmacht został utworzony w miejsce zawodowej Reichswehry i obejmował trzy rodzaje sił zbrojnych: Heer (wojsko lądowe), Kriegsmarine (marynarka wojenna) i Luftwaffe (lotnictwo), z których każdy posiadał własny sztab generalny. Naczelny dowódcą Wehrmachtu był Adolf Hitler. W czasie II wojny światowej Wehrmacht brał udział w zbrodniach wojennych razem z Gestapo i Waffen-SS. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze orzekł w procesach powojennych bezsporną winę wszystkich oskarżonych hitlerowskich dowódców.

pracowałem jako goniec dla dyirekcji przedsiębiorstwa „Saturn”, od czasu do czasu byłem wysyłany z pismami do biura garnizonu wojskowego. To dawało mi możliwość ustalenia, ilu żołnierzy hitlerowskich liczył garnizon. Według mojej oceny w jednostce stacjonowało około 35-40 żołnierzy niemieckich.

Spotkani przeze mnie i moich kolegów, jak się okazało – partyzanci, nie byli zbyt rozmowni. To rozumiałe, że nie chcieli i nie mogli rozmawiać z młokosami na temat akcji. Miałem jednak okazję powiedzieć im o mojej wiedzy, dotyczącej liczebności garnizonu niemieckiego. Byli ze mną zgodni.

Ja i moi koledzy spontanicznie zadeklarowaliśmy chęć wzięcia udziału w ich działaniach. W odpowiedzi usłyszeliśmy niestety, że trochę za późno, bo broni dla nas nie mają, że jesteśmy nieprzeszkoleni i niezaprzyjęzeni. Jednak już za chwilę, dowódca grupy partyzantów powiedział do mnie: „Wciągam Cię do działania, masz tu meldunek, który dostarczysz jak najszybciej dowódcy oddziału partyzanckiego porucznikowi ps. „Zawisza” (Krystynowi Więckowskiemu). Przekazanie meldunku miało odbyć się w konkretnym miejscu przy granicy pomiędzy miejscowościami Kamienica a wsią Zbludza.

Czego więcej trzeba dla młodego, niespełna osiemnastoletniego wyrostka, żadnego przygód i wychowanego przed wojną w duchu głębokiego patriotyzmu? Wziąłem kartkę z meldunkiem i bocznymi, dobrze sobie znanymi, ścieżkami, bezdrożami dotarłem do legendarnego dowódcy partyzanckiego por. „Zawiszy. Zastałem go, kiedy miał chwilę czasu dla siebie i akurat się mył. Przeszkodziłem mu, lecz uznałem, że w polu na wojacze nie ma to żadnego znaczenia. Stanąłem na baczność i zameldowałem tak, jak potrafiłem najlepiej mając 17 lat.

Porucznik Zawisza był młodym mężczyzną, średniej postury. Miał około 30 lat. W mundurze prezentował się wyśmienicie i zrobił na mnie duże wrażenie. Przywitał mnie bardzo serdecznie z uśmiechem na twarzy, czym wzbudzał moją sympatię. Wziął meldunek zapisany na kartce. Zapytał mnie kim jestem, skąd pochodzę i podziękował za przyniesioną informację. Opowiedziałem „Zawiszy” o sobie, że jestem wysiedlonym w 1939 r. przez hitlerowców mieszkańcem Poznania. Wraz z rodziną, ojcem, matką i bratem, mieszkamy obecnie w Kamienicy koło Łącka. Przyjął moje słowa życzliwie i okazał zaufanie. Następnie wydał rozkazy podkomendnym i wraz z całą grupą partyzantów ruszyliśmy w kierunku Kamienicy.



Fot. Szkolenie żołnierskie z obsługi karabinu PIATA w 1 PSP AK, które przeprowadzał cichociemny por. A. Skowron

Przed dojściem do wsi, cały pododdział skręcił w lewo przed rzeką, która również nazywa się Kamienica i poszedł zgodnie z jej biegiem. Przedzieraliśmy się przez zarośla. Po przejściu mniej więcej pół kilometra, ukazała się przed nami otwarta przestrzeń i dalej widok na wieżę kościoła w Kamienicy. W tej samej chwili Niemcy rozpoczęli ostrzał naszej kolumny z karabinu maszynowego. Karabin ustawiony był właśnie na wieży kościelnej.

Na rozkaz porucznika „Zawiszy” natychmiast zbiegliśmy niżej w kierunku nurtu rzeki, usuwając się z linii ognia hitlerowców. Przeszliśmy przez wodę na prawy brzeg. Przemoczeni, ale zadowoleni kontynuowaliśmy marsz w kierunku południowo-wschodnim, do Kamienicy Dolnej.

Po około dwóch kilometrach, dowódca oddziału, porucznik „Zawisza” zarządził postój. Było to między dwoma gospodarstwami koło szosy łączącej Kamienicę z Łąckiem. Po prawej stronie szosy ustawiony został lekki karabin maszynowy, który był wtedy na wyposażeniu wojsk polskich i używany w kampanii w 1939 roku. Ustawienie karabinu w tym miejscu zabezpieczało nas przed uderzeniem okupanta od północnego zachodu, gdzie mieścił się niemiecki garnizon na rynku w Kamienicy, umiejscowiony w dawnej szkole powszechnej, do której dobudowali duży bunkier. Byli doskonale wyposażeni w broń maszynową, automaty, karabiny i granaty ręczne. Mieli też do dyspozycji samochód ciężarowy.

Przypuszczalny skład osobowy w garnizonie to około 35-40 żołnierzy. Zdolność bojowa była raczej przeciętna, wiek tych żołnierzy można było ocenić na 35 - 50 lat. Morale niezbyt wysokie. W składzie był jeden Ślązak, przymusowo wcielony do Wehrmachtu. Z doniesień miejscowych mieszkańców wynikało,



że od godzin rannych Garnizon Niemiecki w Kamienicy nie ma łączności ze Starym Sączem, gdzie stacjonował silny oddział niemiecki.

Patrole niemieckie miejscowego Garnizonu węszyły dookoła, szukając partyzantów i wykrzykując: „Wo sind die polnischen Banditen?!“ (Gdzie są polscy bandyci?).

„Zawisza” zorganizował zasadzkę na wypadek ewentualnego natarcia Niemców z centrum gminy Kamienica. Było to z punktu widzenia taktycznego znakomite posunięcie.



Fot. 1. batalion (baon). Żołnierze trakcie akcji - marszu na Słowację.  
W kapeluszu dowódca 1 baonu J. Lipczewski „Andrzej”

Dziś jestem oficerem w stopniu pułkownika. Wysoko oceniam zmysł taktyczny i zdolności dowódcze por. „Zawiszy” Krystyna Więckowskiego. To był oficer z prawdziwego zdarzenia, odważny i zdolny do wykonywania każdego zadania bojowego.



Umiał kierować podwładnymi i pociągnąć za sobą partyzantów. Szybko podejmował decyzję i w pełni panował nad sytuacją w warunkach bojowych.

„Zawisza” doskonale przewidział dalsze działanie Niemców. Otóż po kilkunastu minutach, po zajęciu przez partyzantów pozycji bojowej, usłyszeliśmy warkot silnika samochodowego. Zbliżała się do nas ciężarówka wypełniona niemieckimi żołdakami. Celowniczy próbował otworzyć ogień do Niemców, ale zamek lekkiego karabinu maszynowego zaciął się. Niemiecki samochód minął stanowisko LKM-u, zbliżając się do naszych pozycji.

„Ognia!” - podał komendę porucznik „Zawisza” i partyzanci natychmiast ostrzelali pojazd. Jeden z naszych żołnierzy wrzucił granat do kabiny. Kierowca zginął na miejscu. Samochód jechał jeszcze siłą rozpędu, zwalniał, strzelanina trwała dalej.

Trzech niemieckich żołnierzy rzuciło się do ucieczki, wzięliśmy kilku jeńców, a sześciu żołnierzy zostało ciężko rannych. Zanieśliśmy ich do stodoły i położyliśmy na klepisku. Ze zdobytego pojazdu podoficer - partyzant rzucił mi w ręce jeden z karabinów niemieckich. Po raz pierwszy trzymałem nowiutki, ciepły jeszcze karabin, podobny do Mauzera, z kilkoma nabojami w magazynku.

Podoficer skierował mnie wraz z dwoma kolegami nad brzeg rzeki Kamienica z zadaniem utrzymania posterunku przed ewentualnym pojawieniem się żołnierzy niemieckich. Nie miałem pojęcia, jak posługiwać się tym karabinem. Po kilku minutach starszy ode mnie kolega objaśnił mi pokrótce jego budowę, sposób celowania i oddawania strzału. Tak więc stałem się początkującym żołnierzem o praktycznie minimalnym doświadczeniu.

Wieczorem oddział partyzancki ruszył w kierunku kwatery garnizonu niemieckiego. „Zawisza” skalkulował, że po zdobyciu

samochodu ciężarowego w naszej akcji, w wyniku której część Niemców zginęła lub byli ranni, siły niemieckie w garnizonie Kamienica zmniejszyły się do około 20-25 żołnierzy. W związku z tym przewaga nasza była znaczna, stosunek sił wynosił ponad 3:1.

Byliśmy szczęśliwymi posiadaczami kilkudziesięciu karabinów i pistoletów maszynowych oraz granatnika 120 mm typu „PIAT” (ang.) z granatami o zasięgu do 300 metrów.

Plan por. „Zawiszy” Krystyna Więckowskiego zakładał, że jeden z pojmanyh przez nas jeńców, Ślązak, zostanie skierowany do dowódcy garnizonu niemieckiego i wezwie go do poddania się tak, aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

Nasz dowódca chciał zagwarantować Niemcom ocalenie, życie. Zależało mu na broni i amunicji. Czułem, że „Zawisza” obdarza mnie sympatią i życzliwością. Ośmieliłem się zaproponować mu siebie, jako przewodnika, ponieważ doskonale znałem teren. Porucznik zgodził się i poprowadziłem część oddziału znaną mi ścieżką przez park dworski, omijającą wiejskie drogi. Dotarliśmy niezauważeni do miasta. Skryliśmy się w ciemnościach spowijających miasteczko. Pomogły nam w tym gęsta zabudowa i zakamarki starego rynku. Byliśmy w pobliżu piekarni. Czekaliśmy na dalsze rozkazy dowódcy. Wkrótce dowódca zdecydował, że już czas na skierowanie Ślązaka Hansa na rozmowy z Niemcami. Ślązak wynurzył się z ciemności i zaczął swoją część akcji. Krzyczał: „Nicht schiessen!” (Nie strzelać!), „Ich bin Hans” (Jestem Jan).

Wkrótce na rynku pojawili się Niemcy z podniesionymi rękami, ustawiając się w szeregu. „Zawisza” podszedł do nich i rozpoczął rozmowy z ich dowódcą. Żołnierze niemieccy stali przerażeni na rynku kamienickim. Tak przestraszonych ludzi nigdy

w moim krótkim jeszcze życiu nie widziałem. Strach przed śmiercią jest niesamowity i niezrozumiały dla ludzi, którzy nie doświadczyli podobnych przeżyć. Okazało się, że ci niemieccy „nadludzie”, jak sami siebie nazywali hitlerowcy, byli tylko zwykłymi ludźmi, jak wszyscy na świecie i uczucie panicznego strachu nie było im obce.

Dowódca tych niemieckich żołnierzy, oberleutnant (nazwisko uciekło mi z pamięci) powiedział, co wyraźnie słyszałem, „Sein ruhig, das ist polnischer Wehrmacht” (Bądźcie spokojni, to jest polskie wojsko!). Kilka godzin wcześniej, kiedy mieli nad nami Polakami przewagę zbrojną, nazywali nas bandytami. Teraz, kiedy stali bezbronni z wycelowanymi w nich karabinami, nazwali nas polską armią.

Na koniec akcji por. „Zawisza” zaproponował dowódcy niemieckiemu, że może wystawić na pewien czas polską wartę, aby chronić rozbrojonych żołnierzy. Niemiec odmówił. Załadowaliśmy zdobytą broń na furmanki i wywieźliśmy nocą do bazy partyzanckiej w Szczawie.

Ja i koledzy przespaliśmy się w lesie nad Kramarzówką. Następnego wieczoru mieliśmy pojawić się u innego, jeszcze nie poznanego członka konspiracji w rejonie wsi Zalesie. Dom położony był głęboko w lesie. Dostaliśmy się tam skręcając w lewo z szosy biegnącej z Kamienicy do Limanowej, naprzeciwko jednego ze szczytów Beskidu Wyspowego - góry Modyń.

Kiedy już tam dotarliśmy, zostaliśmy wraz z moimi kolegami zaproszeni na kolację. Gospodarz domu przyjął nas serdecznie, a jego żona przygotowała posiłek. Rozmawialiśmy o tym, że jesteśmy nowi w oddziale i nasz gospodarz zwrócił uwagę, że powinniśmy zostać zaprzysiężeni. Powiedzieliśmy, że na to

czekamy i ponieważ następnego dnia mamy stawić się na partyzanckiej placówce o kryptonimie „Kuźnia”, to zapewne zostaniemy zaprzysiężeni.

Ta skromna wieczorna biesiada zapadła mi w pamięć chyba dlatego, że byłem bardzo głodny. Największym rarytasem dla nas młodych ludzi był chleb grubo posmarowany niezwykle smacznymi powidłami śliwkowymi. Ich smak pamiętam, jakby to było wczoraj. Po noclegu u przemiłych gospodarzy na pachnącym sianie, rano wyskakiwaliśmy z niego wypoczęci.

Byliśmy szczęśliwi i gotowi do wejścia w szeregi leśnego wojska. Z pomocą przewodnika dotarliśmy do lasu w pobliżu wsi Zbludza. Zameldowaliśmy się dość nieporadnie u dowódcy placówki „Kuźnia”, wtedy jeszcze sierżanta podchorążego Jana Adamczyka, pseudonim „Gryf”. Kilka dni później podchorąży „Gryf” został mianowany podporucznikiem Wojska Polskiego, a właściwie Armii Krajowej.

Naszego dowódcę znałem od roku 1941, kiedy uczyłem się w VI klasie szkoły podstawowej w Kamienicy, a podporucznik Jan Adamczyk był jednym z nauczycieli. Mieszkał w Zbludzy. Wtedy nie wiedziałem oczywiście, że jest żołnierzem AK.

Późniejsze programy uczenia polskich dzieci zawęziły szkołę podstawową do 4 lat. Polacy mieli być niewolnikami o bardzo niskiej wiedzy ogólnej. Łatwiej zarządza się ludźmi niewykształconymi. Już wtedy wiedziałem, że Adamczyk jest bardzo dobrym nauczycielem, dzieci to czują.

Dziś, będąc dorosłym i doświadczonego człowiekiem, mogę ocenić, że podporucznik Adamczyk był mądrym i sprawiedliwym przełożonym.



W organizacji Armii Krajowej nasza placówka była najniższym ogniwem. Podczas służby w placówce dzień po dniu uczyliśmy się rzemiosła wojskowego. Codziennie, zaraz po pobudce, odbywał się apel poranny, a po nim różne szkolenia wojskowe. Obejmowały takie przedmioty, jak regulaminy wojskowe, szkolenie strzeleckie, taktykę i musztrę. Szkolili nas przeważnie podoficerowie, głównie przedwojenni żołnierze zawodowi. Obowiązywały nas też przedwojenne regulaminy. Podam przykład, jak wyglądał meldunek: „Panie Poruczniku, strzelec „Jastrząb” melduje posłusznie wykonanie zadania”.

Zastanawiałem się, jaki przyjąć pseudonim. Była to dla mnie bardzo ważna sprawa. Razem z moim serdecznym przyjacielem, który, podobnie jak ja, był miłośnikiem gry w szachy, podjęliśmy wspólne decyzje. Janek postanowił przyjąć pseudonim „Mat”, a ja „Szach”. Jak to jednak bywa z młodymi ludźmi, ostatecznie występowaliśmy pod innymi pseudonimami: Janek - „Pomsta”, a ja „Jastrząb”.



Miejsce naszego partyzanckiego zakwaterowania zwaliśmy „meliną”. Było to kilka domków zbudowanych w lesie z tarcicy zdobytej w tartaku na „Kramarzówce”.

Bardzo ważne było dla nas szkolenie strzeleckie. Zapoznano nas z bronią krótką, pistoletem Parabellum, Visem, Waltherem, rewolwerami typu Colt, Nagant i innymi. Ważna była budowa i sposób posługiwania się bronią długą: karabinami typu Mauzer, Mannlicher (austriacki), niemieckimi i rosyjskimi oraz pistoletami

maszynowymi Bergmann, Thomson i Sten. Nauczono nas także budowy i strzelania z karabinu maszynowego typu „Zbrojovka” (czeski, takie mieliśmy na stanie), prawdziwe cacko.

Z zajęć taktycznych pamiętam o zasadzie zmiany stanowiska strzeleckiego podczas wymiany ognia z nieprzyjacielem. Musztra nauczyła nas, jak należy się poruszać i jak wyglądają poszczególne szyki.

Po kilku dniach szkolenia złożyliśmy przysięgę na wierność rządowi londyńskiemu na ręce podporucznika „Gryfa”. Od tego dnia byliśmy już prawdziwymi żołnierzami, lecz nie byliśmy zahartowanymi w walkach przeciwko okupantowi niemieckiemu, nie mieliśmy strzeleckich doświadczeń, byliśmy żółtodziobami. Wysłano nas na kilkuosobowe patrole. Otrzymałem wreszcie broń służbową, obrzynek<sup>2</sup> Mannlichera.

Nowym doświadczeniem były służby wartownicze w warunkach leśnych. Pamiętam, że pewnego wieczoru podczas patrolu w okolicy Zalesia zatrzymaliśmy mały powozik, którym podróżowało dwóch mężczyzn. Mnie dowódca patrolu ustawił około piętnastu metrów od pojazdu, przy skraju szosy. O mało nie doszło do strzelaniny. Okazało się, że mężczyźni byli uzbrojonymi żołnierzami macierzystego oddziału samodzielnego 1. Batalionu Strzelców Podhalańskich, którego dowódcą był wówczas porucznik „Zawisza”.



Wielokrotnie byliśmy wysyłani na tak zwaną „obstawę zrzutowisk” (zrzuty z samolotu). Najbardziej dogodne i bezpieczne okazały się zrzutowiska o kryptonimach „Wilga I” (w rejonie

2. Obrzynek, to przeróbka karabinu na broń krótką (obcięta lufa lub kolba lub jedno i drugie). Przy treningach strzeleckich okazał się bronią mocno rozkalibrowaną. Prawdopodobnie był używany przed wojną przez kłusowników (przyp. autora).

góry Mogielnica 1170 m n.p.m.) i „Wilga II” (w rejonie Małej Polanki w pobliżu Szczawy). Podczas służby w placówce „Kuznia” głównie obstawialiśmy zrzutowisko „Wilga I”. Czuwaliśmy nie raz prawie do rana, często bezowocnie, samolot nie przylatywał z różnych powodów, których nie znaleźliśmy. O wiele skuteczniejsze były zrzuty w „Wildze II”, w których miałem okazję uczestniczyć od grudnia 1944 r.



W czasie służby w pododdziale kaprala „Łazika” – Jana Wąchały (późniejszego podporucznika AK) pewne ważne wspomnienie zapadło głęboko w moją pamięć. Był sierpień 1944 roku. Po zajęciach odpoczywaliśmy w czwórce w partyzanckim domku. Jeden z moich kolegów popisывał się zdobyczym karabinem niemieckim i od czasu do czasu celował do nas. Zwróciłem mu ostrą uwagę, że szkolący nas oficerowie mawiali, że broń od czasu do czasu sama strzela. W związku z tym zabronione jest celowanie dla zabawy do ludzi. Urażony moją uwagę, odpowiedział mi, że karabin jest zabezpieczony i nic się nie stanie. W tej samej chwili, kiedy szczęśliwie celował w podłogę, odbezpieczył mauzera i padł strzał. Chłopak zbladł, nie bardzo rozumiał, co się stało. Kiedy na spokojnie obejrzelśmy broń, okazało się, że zamek w karabinie różnił się budową od tego, który znaleźliśmy, czyli od Mauzera. Karabin został źle złożony i kurek cały czas dotykał spłonki naboju. Po przestawieniu bezpiecznika kurek nacisnął mocno na spłonkę naboju i nastąpił wystrzał. Nie chcieliśmy myśleć, co by się stało, gdyby mnie wtedy nie posłuchał. Była to dla nas obu poważna nauczka.



Kiedy nastąpiły jesienne chłody, naszą „melinę” przeniesiono, już po raz trzeci, w inny rejon w pobliżu Zalesia. Pewnego razu jeden z kolegów, mieszkaniec Słopnic, przyprowadził do naszego pododdziału dwudziestosześcioletniego żołnierza niemieckiego, który podobno był leczony w szpitalu w Zakopanem. Towarzyszyła mu młoda pielęgniarka.

Przybyli zostali przesłuchani przez dowódcę „Kuźni”, podporucznika „Gryfa”. Wersja podana przez nich mogła wydawać się wiarygodna. Żołnierz był ranny na froncie wschodnim. Wie, że wojna jest przegrana, nie chce zginąć od kul „Iwana” na froncie wschodnim, lecz przeczekać u nas do końca wojny. Tyle dowiedzieliśmy się od naszego dowódcy.

Rozmawiałem z Niemcem. Opowiedział, że pochodzi z Drezna, miał żonę i dwoje dzieci. Służył w wojsku jako artylerzysta. Podporucznik „Gryf” był w rozterce. Osoby z pododdziału, którym ufał ostrzegały go, że Niemiec może być agentem Gestapo<sup>3</sup>.

Ponadto nie mieliśmy możliwości weryfikacji prawdziwości Niemca, ani też nieustannego kontrolowania każdego ich ruchu. Dowódca miał problem z podjęciem decyzji, ale naciskany przez starszą, skłonił się do wydania rozkazu wykonania kary śmierci.

Kapral, którego nazwiska ani pseudonimu nie pamiętam, z drugim żołnierzem wyprowadzili w las Niemca i pielęgniarkę. Poinformowali ich, jaki jest wyrok i wykonali go.

Pas niemiecki ze sprzączką „Gott mit uns” (Bóg z nami)

---

3. Gestapo (niem. Geheime Staatspolizei, Tajna Policja Państwowa; do 1936 również Gestapa, od Geheimes Staatspolizeiamt - Urząd Tajnej Policji Państwowej) - tajna policja utworzona w III Rzeszy 26 kwietnia 1933, która w sposób bezwzględny zwalczała wszelkie przejawy oporu, rozwiązana wraz z upadkiem III Rzeszy w 1945 (przyj. autora, źródło: Wikipedia)



trafił do mnie. Do dziś to wspomnienie nie daje mi spokoju. Czy to była konieczność? Czy część odpowiedzialności za to, co się stało, nie spoczywa i na mnie?



Siedziba partyzantów nigdy nie była miejscem stałym, wspomniałem już nazwę „melina”, były też inne miejsca, gdzie stacjonowaliśmy. W warunkach partyzanckich to była konieczność. Hitlerowcy mieli swoich agentów w wielu miejscach i lokalizacja naszego pobytu nie mogła mieć charakteru stałego.

Wspomnę drugą „melinę” placówki. To miejsce w lesie bukowym nad rzeką Szczawą. Jeden z naszych kolegów partyzantów był cieślą. Pod jego kierunkiem w ciągu jednego dnia, zbudowaliśmy całkiem solidny drewniany budynek.



Fot. Obóz leśny Mogielnica 1944 r.

Któregoś wrześnieowego poranka wpadł w ręce naszego oddziału agent niemiecki. Dowódca na zbiórce pyta, kto się zgłosi do wykonania wyroku. Zgłosiliśmy się z kolegą. Zadanie mieliśmy wykonać pod wieczór. W międzyczasie złapał mnie szef placówki sierż. „Sobieski” i stawia mi nowe zadanie. Zgodnie z regulaminem melduję: „Panie sierżancie, strzelec „Jastrząb” melduje posłusznie, że mamy we dwóch z kolegą wykonać wieczorem wyrok”. „Młody jesteś” – odpowiedział ze śmiechem „Sobieski”. – „Zrobisz to, co ci powiem, a w wykonaniu wyroku zastąpi cię ktoś starszy. Za parę lat, jeszcze mi za to podziękujesz”.



We wrześniu 1944 roku oddział „Zawiszy” został przeorganizowany na 1. batalion 1. Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej, co było awansem partyzanckim i możliwością pogłębienia żołnierskiego doświadczenia w walce z okupantem.

Od drugiej połowy grudnia 1944 mogłem służyć pod rozkazami kaprała „Łazika”, dowódcy drużyny gospodarczej. Skład osobowy drużyny „Łazika” doznał poważnych strat. 15-go lub 16-go grudnia 1944 r. trzech żołnierzy „Łazika” wracało rankiem z patrolu. Szli poboczem szosy z Łącka w kierunku Zabrzeża i dalej przez Kamienicę do bazy w Szczawie. Szosa ta była przed, jak i podczas wojny drogą drugorzędną o kamiennej nawierzchni. Nadjeżdżający wóz konny miejscowego gazdy zabrał ich w kierunku Szczawy. Prowadzili wesołą, luźną rozmowę, jakby wojna została gdzieś daleko. Ta miła chwila rozmowy została przerwana pojawieniem się wojskowej ciężarówki, tak zwanej

„budy”, wypełnionej żołnierzami. Była to niemiecka straż graniczna. Kiedy partyzanci zorientowali się w sytuacji, wyskoczyli z wozu i wbiegli na teren pobliskiego gospodarstwa. Zostali ostrzelani przez nieprzyjaciela, zanim zdążyli zająć stanowiska obronne.

Z przykrością muszę napisać, że jeden z moich kolegów partyzantów zginął na miejscu, drugiego ciężko raniono. Niemcy zamierzali go przesłuchać na Gestapo, lecz zmarł im po drodze. Trzeci schował się, prawdopodobnie ciężko ranny, pod deskami kładki łączącej dwa brzegi niewielkiego strumienia.

Zginęli wtedy partyzanci: „Łaziczek” Stanisław Wąchała - brat „Łazika”, „Rokita” Iwo Paygert (z Limanowej) i trzeci, którego pseudonimu nie pamiętam. To była żołnierska śmierć, na którą każdy z nas był przygotowany. Tak sobie myślę, że gdyby Niemcy nadjechali kilka minut później, wóz konny zdążyłby w Zabrzeży skręcić w boczną drogę i uniknąć z nimi spotkania.

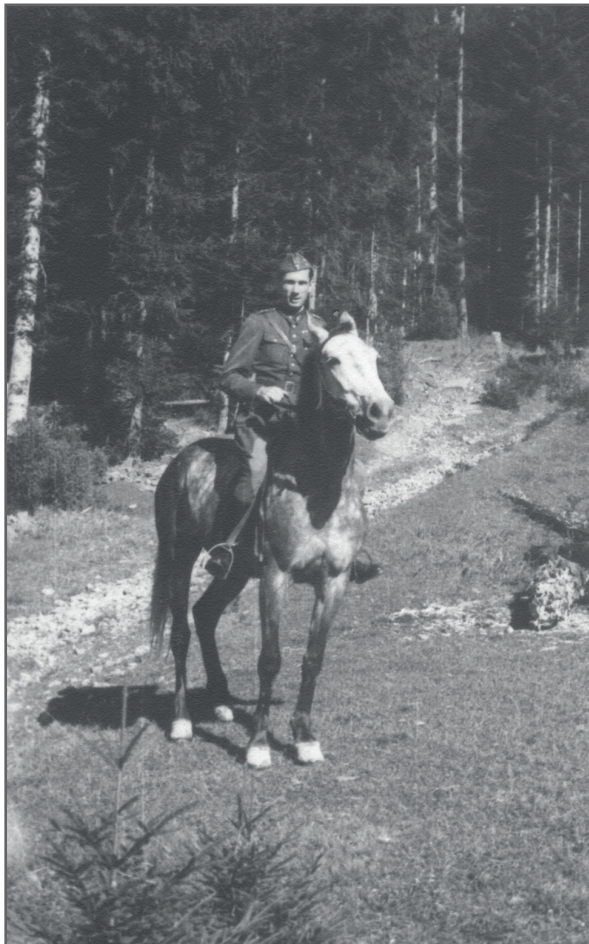
Kilka lat temu byłem w okolicy Łacka i odwiedziłem gospodarstwo, w którym zginęli moi koledzy. W rozmowie z gospodynią, niewiele młodszą ode mnie, dowiedziałem się szczegółów śmierci „Rokity”.

Otóż wiosną 1945 roku, po wyzwoleniu kraju z okupacji niemieckiej, kiedy nadeszły ciepłe wiosenne dni, mieszkańcy poczuli bardzo nieprzyjemne zapachy dochodzące z okolicy strumyka. W końcu udało się zlokalizować źródło fetoru. Wydobywał się spod kładki nad strumykiem. Pod kładką leżały zwłoki „Rokity”. Gospodarze pochowali go z godnością.

Jedną z pierwszych czynności, jaką podjął mój nowy dowódca kapral „Łazik”, znany z odwagi i sprawności dowódczej, było zameldowanie się u dowódcy batalionu, którym był porucznik Jan Wojciech Lipczewski pseudonim „Andrzej”, „Wierzyca”.

Kapral „Łazik”, któremu towarzyszyłem u porucznika „Andrzeja”, polecił mnie jako osobę godną zaufania. Dodał też, że pochodzę z dobrej rodziny, choć nie byłem pewien, czy lewicowe poglądy panujące w moim domu byłyby mile widziane w AK.

Porucznik „Andrzej” zadawał mi różne pytania i odniosłem wrażenie, że moje odpowiedzi w pełni go zadowalały. Szczególnie utkwiała mi w pamięci jedna z moich wypowiedzi, w której



wyraziłem zdanie, że czuję się bezpieczny w otoczeniu żołnierzy 1. batalionu. Porucznik „Andrzej” uśmiechnął się wyrozumiale i odrzekł, że przecież Niemcy poprzez swoich agentów wiele o nas wiedzą i wcale tak bezpiecznie w oddziale nie jest. Dziś, tyle lat po wojnie o wiele lepiej rozumiem swego ówczesnego dowódcę. Była to bardzo mądra wypowiedź.

Porucznik „Andrzej” zaakceptował mnie, jako członka batalionu. Po raz kolejny, na

Fot. Dowódca 1. baonu 1. psp AK - „Andrzej”

jego ręce złożyłem przysięgę na wierność narodowi polskiemu i Rządowi Londyńskiemu.

Tekstu przysięgi niestety nie pamiętam. Wkrótce wróciliśmy do naszej ostoji, miejsca ówczesnego postoju pododdziału „Łazik” w Bukówce. Przydzielono mi broń, nowiutkiego Colta (kaliber 8 mm), ośmiostrzałowego bębenkowca.

Sporo tej broni otrzymaliśmy ze zrzutów. Zostałem zakwaterowany i poznałem nowych kolegów. Niektórych znałem wcześniej z placówki „Kuźnia”, na przykład Marka Żyto i „Borutę” - Jana Paygerta brata poległego „Rokity”. Po wojnie Marek Żyto pracował jako główny księgowy w jednym z przedsiębiorstw łódzkich. Nigdy po wojnie nie ujawnił, że był „Akowcem”.

Poznałem także pewnego poznaniaka o pseudonimie „Motor” - Mieczysława Czechowskiego. Był elokwentny, wiele przeżył pomimo młodego wieku, chętnie dzielił się historiami swoich miłosnych podbojów. Zakolegowaliśmy się. Wolny czas spędzaliśmy w dobrej koleżeńskiej atmosferze. Kuchnię prowadziła wdowa po oficerze zawodowym, zawsze uśmiechnięta i wspaniale gotowała.

Broń, którą mi przydzielił dowódca szybko opanowałem. Rewolwer był świetny i skuteczny. Istotnym kłopotem było zdobycie do niego amunicji

Nabój do bębenkowca ma wystającą kryzę, która opiera się o bębenek. Używaliśmy więc nabojów niemieckich o kalibrze 8 mm z wycinanymi kryzami. Musieliśmy zatem w wycięte kryzy zakładać cieniutki drucik, aby łuska nie była cała wciskana w otwór bębenka. To było do wykonania w czasie ćwiczeń, lecz w przewidywaniu dłuższej wymiany ognia z Niemcami, mogło zabraknąć czasu na uzupełnianie bębenka. Na szczęście, po kilku dniach, dowódca zabrał mi Colta (komuś starszemu się spodobał)



i otrzymałem solidnego Mausera z długą lufą, oraz kilkadziesiąt sztuk amunicji. Karabin szybko sprawdzałem, był bardzo dobry.

Ponieważ oczekiwaliśmy wzmożonych zrzutów, broń była mi bardzo potrzebna. Każdy z nas został w pełni umundurowany. Nasze partyzanckie, polskie mundury wojskowe były takie same jak te, które nosili żołnierze korpusu gen. Andersa. Brakowało tylko hełmów i czapek. Nosiliśmy angielskie obuwie nieprzemakalne, podbite ćwiekami. To były naprawdę doskonałe buty. Nosilem je długo po wojnie. Każdy z nas dostał także angielską podłużną latarkę sygnalizacyjną. Po wojnie niestety ją zgubiłem.



Wracając do historii z drugiej połowy 1944 r., powołany jako zwarta jednostka bojowa 1. Pułk Strzelców Podhalańskich



Fot. Ćwiczenia oddziału Ochrony Pułku. Od prawej leżą: J. Gober „Gołąb”, obok A. Pintscher „Alf”, z torbą S. Dzioboń „Herkules” - Szczawa Polanki, jesień 1944 r.

Armii Krajowej został podzielony na cztery bataliony:

- I - Nowy Sącz,
- II - Limanowa,
- III - Gorlice,
- IV - Nowy Targ.

W rejonie miejscowości Szczawa, pomiędzy zboczami Mogielicy, Wielkiego Wierchu i Kiczory znalazł swoje miejsce sztab 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Tuż w jego sąsiedztwie zamieszkiwała specjalna grupa „Pelikany”, której zadaniem było nawiązywanie łączności z zagranicą, szczególnie nadzór drogą radiową nad przygotowaniem odbioru zrzutów na polankach szczawskich (pod koniec 1944 r.) z alianckich baz lotniczych we Włoszech

Nieopodal, swoją siedzibę, miał 1. batalion 1. psp AK, z dowodzącym por. Janem Wojciechem Lipczewskim ps. „Andrzejem”, „Wierzycą”. 1. batalion składał się głównie z żołnierzy pochodzących z rejonu Kamienicy, Zabrzeży, Szczawy i rozformowanych oddziałów partyzanckich z terenu limanowszczyzny oraz nielicznych żołnierzy z okolic Nowego Sącza. Lokalne dowództwo niemieckie miało na uwadze, że mobilność sił AK w tym rejonie, które mogły zagrozić bezpieczeństwu wojskom niemieckim w trakcie wycofywania się, w razie ofensywy sowieckiej. W 1944 roku partyzanckie siły sowieckie silnie się rozwijały. Sięgając pamięcią wstecz, sporo słyszałem o zgrupowaniu „Aloszy”<sup>4</sup>.



4. „Alosza” - por. Andrzeja Bocian, później Andrej Botian, Białorusin z Grodna, stacjonujący na Turbaczu. Został tam przerzucony przez linię frontu z byłego Związku Radzieckiego, był funkcjonariuszem NKWD (przyj. Marek Zapala).

Częścią historii Sądeczyny jest przerwienie do Polski we wrześniu 1944 roku pułkownika Iwana Zołotara<sup>5</sup>. Jego zadaniem było połączenie wszystkich oddziałów radzieckich, uciekinierów z obozów jenieckich i niemieckich obozów pracy. Łącznie zgromadził pod swoim dowództwem około 3000 ludzi. Było ich znacznie więcej, niż partyzantów w oddziałach polskich. Między partyzantami sowieckimi a naszym 1. Pułkiem Strzelców Podhalańskich AK istniało porozumienie w zakresie luźnej współpracy i pomocy żywnościowej, oraz wymiany informacji dotyczącej ruchów wroga niemieckiego.

Któregoś wrześniowego dnia byłem z dwoma kolegami na patrolu. Spotkaliśmy młodego partyzanta sowieckiego. Wymieniliśmy się Stenem na jego Pepeszę. Na próbę oddaliśmy po dwa strzały, my z jego broni, a on z naszej. To był przykład przyjacielskiego spotkania.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia miałem niebezpieczną przygodę. Dostałem przepustkę i wybrałem się umundurowany i uzbrojony w Colta do mojej sympatii Janeczki Glotzówny, która mieszkała w Łącku. Spacerowaliśmy po rynku. Nagle usłyszałem „Ruki w wierch!” („Ręce do góry!”) i ujrzałem wycelowany we mnie karabin. Ręk nie podniosłem.

Oceniam przeciwnika - nasz, czy na służbie niemieckiej? Widok marnie ubranego mężczyzny upewnił mnie, że to chyba sprzymierzeniec. Korciło mnie, by skoczyć w bok błyskawicznie, po kowbojsku chwycić za Colta i strzelić. Przeważył rozsądek i dobrze, że nie doszło do strzelaniny, a Rosjanin zauważył opaskę AK, mundur i rzekł: „O, partyzant”. Uścisnęliśmy się, jako sprzymierzeńcy i po chwili rozmowy rozeszliśmy się w zgodzie.

---

5. Iwan Zołotar - „Iwan”, „Artur” – dowódca NKWD (przyp. Marek Zapala).



Mniej przyjemne było spotkanie w grudniu 1944 r. w rejonie Ochotnicy Górnej. Byliśmy we trzech, jak zwykle na patrolu. W czasie kontroli gospodarstwa pewnego mieszkańca, przybiegł do nas mężczyzna, błagając o pomoc. Według jego relacji, dwóch partyzantów sowieckich napastowało kobietę. Błyskawicznie wyskoczyliśmy z bronią w rękę pod wskazany nam adres. Przepędziliśmy napastników, którzy w panice wiali przed nami. Nie strzelaliśmy, istniał nakaz, aby tego absolutnie unikać. Martwiliśmy się, co to będzie, kiedy my odejdziemy z tych terenów. Niestety wioski przygraniczne pod Turbaczem były często narażane na wizyty agresywnych Rosjan.



Głęboko utkwily mi w pamięci święta Bożego Narodzenia 1944 roku. Dowódca batalionu porucznik „Andrzej” zgromadził cały batalion w dużej hali tartaku w Bukówce. Obejrzelśmy występy artystyczne, młodych, pięknych partyzantek. Oklaskom nie było końca. Śpiewaliśmy hymn narodowy zakazany przez okupanta. To była podniosła chwila. Wieczorem śpiewaliśmy kolędy. Każdy z partyzantów był wywoływany po imieniu i otrzymywał prezent. Wywołano i mnie, strzelca „Jastrzębia”. Dostałem w prezencie dużą paczkę, a w niej niedostępne w Polsce smakołyki, pomarańcze i czekolady. W ponurej, okupacyjnej rzeczywistości było to zdarzenie jak z bajki, niewyobrażalne i, co tu dużo mówić, zaskakujące. Tego, póki żyję, nie zapomnę. Tu kieruję ogromne słowa uznania pod adresem naszego dowódcy, Jana Wojciecha Lipczewskiego ps. „Andrzeja”, „Wierzyca”, że potrafił organizo-

wać dla nas taką uroczystą Wigilię. Dostaję przepustkę i cieszę się magią świąt z rodzicami i bratem, który też jest urlopowanym żołnierzem placówki „Kuźnia”. Dzielę się z nimi przywiezionymi przeze mnie prezentami. Po kolacji wigilijnej długie rozmowy, podczas których mama wyraża nieustanne obawy o życie moje i brata.

Po świątach przed batalionem kolejne zadania. 26 i 27 grudnia spodziewamy się zrzutów. Otrzymuję zadanie zorganizowania dwóch furmanek do przewiezienia materiałów ze zrzutów do bazy. Znajdujemy się na obrzeżu zrzutowiska „Wilga II” koło Szczawy. Wieczorem przylatuje samolot, zrzuca kilka pojemników. Wtem słyszę, tak mi się wydawało, znajomy świst zrzuconej bomby. Na szczęście okazało się, że się myliłem. Taki sam dźwięk wydawały z siebie połączone dwa pojemniki. W jednym była radiostacja, w drugim czekolada i papierosy. Rzeczywiście, przy zwiniętym spadochronie przypomniały świstem lot bomby. Jeden z kolegów krzyknął nawet, żebyśmy się schowali. Na szczęście, nic nie wybuchło, pojemniki spadły około 50 m przed ształasem, pod którym staliśmy. Podskoczyliśmy do pojemników. Z radiostacji pozostały szczątki. Natomiast kontener drugiego pojemnika pękł na pół. Zobaczyliśmy czekolady i papierosy. Próbowaliśmy coś słodkiego „podwędzić”, lecz szef pogonił nas mówiąc, że to będzie rozdawane w pododdziale i my też coś dostaniemy.



Czekaliśmy na następny zaplanowany zrzut. To byli sławni „Cichociemni”<sup>6</sup>, elita polskiej dywersji. Tego zdarzenia również nie sposób zapomnieć. Nie byli zwartą formacją ani oddziałem wojskowym, nie mieli własnego sztandaru, barw, patrona ani też własnej tradycji. Zostali powołani rozkazem Naczelnego Wodza wraz z utworzeniem Oddziału VI (Specjalnego) Sztabu współpracującego z brytyjskim Kierownictwem Operacji Specjalnych (SOE) oraz z komórką Oddziału V (łączność) Komendy Głównej AK. Byli wyszkoleni do działań indywidualnych w zakresie sabotażu, dywersji, wywiadu, łączności, a także jako oficerowie przygotowani do pełnienia obowiązków sztabowych i dowódczych Szkoleni w około 30 specjalnościach w ok. 50 tajnych brytyjskich Special Training School (Specjalnych Szkołach Treningowych) oraz w polskich bazach m.in. w Ostunii (Włochy).

Upatrzyłem sobie jednego ze skoczków, który wylądował, a spadochron nakrył nas obu. Byłem niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie „mój Cichociemny” zetknął się z ziemią. Całe szczęście, że nie spadł na moją głowę. Po zrzucie samolot zrobił rundę, pomachał skrzydłami i odleciał. Wzruszyłem się patrząc, jak młody oficer kłęka i całuje ziemię. Ucieszył się i krzyknął: „nareszcie na polskiej ziemi”. Odpowiedziałem mu, że tutaj wokoło jest pełno Niemców i tylko ten skrawek należy do Polski. Wpadliśmy sobie w objęcia, ciesząc się, jak dzieciaki. Tego porucznika jeszcze później spotykałem. Zawsze byliśmy wobec siebie mili, choć on był już oficerem, a ja skromnym strzelcem. Nie za dużo zdołał zrobić, gdyż w trzy tygodnie później Armia Krajowa niestety została rozwiązana.

---

6. Cichociemni - Spadochroniarze Armii Krajowej przeszkoleni w Wielkiej Brytanii oraz we Włoszech żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, którzy ochotniczo zgłosili się do służby specjalnej w konspiracyjnej Armii Krajowej na terenie Polski okupowanej przez Niemców oraz Sowietów i byli w latach 1941-1944 przerzucani przez lotnictwo RAF w tym polską 1586 Eskadrę Specjalnego Przeznaczenia. Wykonywali skoki ze spadochronem na zrzutowiska wyznaczone i chronione między innymi przez oddziały partyzanckie AK lub lądowali na polowych lotniskach podczas operacji Most (Wild Horn). (przyp. autora, źródło: Wikipedia)..

Po zrzutach brałem udział w rozwieszeniu zasobników do bazy w tartaku. Warto opisać konstrukcję zasobników. Była to rura średnicy 50-60 cm, długości 1,2-1,5 m, zakończona zderzakiem, który w czasie zrzutu zasobnika podczepionego pod spadochron, w momencie zderzenia z ziemią zgniatał się, chroniąc przed uszkodzeniem całość pojemnika.

Dowódca drużyny kpr. „Łazik” stawia mi kolejne zadanie. Mam udać się w okolice Łącka i stamtąd przeprowadzić górami przedstawiciela Komendy Batalionów Chłopskich do dowódcy naszego batalionu. Podał mi dokładne namiary i ruszyłem w około 17-kilometrową wyprawę w mundurze i uzbrojony w karabin. Po kilku godzinach marszu dotarłem do miejsca spotkania i po wymianie odpowiednich informacji ruszyliśmy na powrót do bazy w Bukówce. Zadanie wykonane, czas na odpoczynek. Później dowiedziałem się, że pododdział Batalionów Chłopskich podporządkował się naszemu dowódcy 1/1 psp AK.

Wspomnienia towarzyszą człowiekowi do końca świadomego życia. Skąd u nas Polaków brała się taka wielka nienawiść do okupanta? Jej źródła można szukać w zaraniu sąsiedztwa Polaków i Niemców. Wielki wpływ miały wojny między naszymi krajami. Ekspansja germaństwa rodziła się także z hasła germańskiego „Drang nach Osten” (parcia na Wschód), czyli dążenia do zdobycia przestrzeni życiowej (Lebens-raum) kosztem wschodnich państw.



Na moją osobistą niechęć do wszystkiego, co niemieckie, złożyły się krzywdy i zbrodnie, z których przytoczę tylko kilka.

Po pierwsze 1 września 1939 roku niemieckie powietrzne siły zbrojne w dwóch nalotach zbombardowały wszystkie zewnętrzne dzielnice Poznania. Zginęło wielu mieszkańców stolicy Wielkopolski, zniszczeniu uległo wiele domów. Cudem uratowałem życie wraz z rodziną. Nasze mieszkanie zostało częściowo zrujnowane. Po drugie w wyniku planowych działań władz niemieckich wiele rodzin polskich, w tym moja rodzina, zostały bezprawnie pozbawione mieszkań, osadzone w obozie przejściowym i wysiedlone do tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Ja z rodziną trafiłem do Kamienicy k/Łącka. Po trzecie Niemcy 31 lipca 1944 r., w bestialski sposób zemścili się na bezbronnych i niewinnych mieszkańcach Kamienicy za rozbięcie poprzedniego dnia przez oddział „Zawiszy” tutejszego garnizonu niemieckiego. W łapance zatrzymali przypadkowych 19 osób. Zamordowali ich w Tylmanowej. O tej zbrodni przypomina pomnik na cmentarzu w Kamienicy. Wieczna chwała ofiarom. Wśród zamordowanych była moja koleżanka szkolna Jadzia. Jej nazwisko widnieje w wykazie ofiar na pomniku upamiętniającym to bolesne wydarzenie. Po czwarte do dziś nie jestem w stanie zapomnieć dwóch kobiet rozstrzelanych publicznie przez gestapowców w lecie 1943 r. na rynku w Kamienicy. Matka miała około czterdziestu lat, a córka była dwudziestoletnią dziewczyną. Były podejrzane o pomoc partyzantom. Z balkonu rodziny Janka, naszego kolegi, widzieliśmy egzekucję. Kobiety po strzałach w potylicę upadły sztywno do tyłu. Matka Janka, co dobrze pamiętam, doznała potwornego szoku i nie mogła się uspokoić. Zwłoki kobiet leżały kilka dni, rodzina nie mogła ich pochować.

Z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy o zbrodniach nazizmu można by trywialnie stwierdzić, że to, o czym wspominam, to drobiazg w porównaniu z ogromem zbrodni popełnionych przez hitlerowców w Polsce i w wielu innych krajach. Chodzi jednak o to, by zrozumieć myśli i uczucia bardzo młodych ludzi, którzy zamiast się uczyć i studiować musieli chwycić za broń z narażeniem swego życia i rodzin. Jak bumerang wracają wspomnienia. Chyba już nigdy się ich nie pozbędę.

Pamiętam, jak w ostatnich dniach grudnia 1944 r. jeden z naszych strzelców przywiózł z Łącka mężczyznę w wieku około 30 lat, który starał się uzyskać kontakt z partyzantami polskimi. Byłem bezpośrednim świadkiem przesłuchiwania go przez dowódcę kompanii por. „Przyjaciela” (Felixsa Perekladowskiego). Porucznik był cichociemnym, zrzuconym na teren Łącuta w maju 1944 r.

Okazał się znakomitym dowódcą, odważnym i zdecydowanym. Oczywiście oceniam to z perspektywy dorosłego i doświadczonego oficera. Po upływie wielu lat, dosłużeniu się przede mną stopnia pułkownika WP i przebyciu wielu ćwiczeń wojskowych na szczeblach taktycznych, studiów i różnych szkoleń, jestem wciąż pod wrażeniem jednej z akcji bojowych.

Dowodzony przez porucznika „Przyjaciela” pododdział wracał po wykonaniu pewnego zadania, przez Kamienicę do bazy w Szczawie. Żartobliwie mówiło się wtedy, że wracamy z „kampy”. Por. „Przyjaciel” otrzymał od miejscowych mieszkańców informację, że we wsi Kamienica buszują Niemcy. Poruszają się dwoma samochodami osobowymi i ciężarówką. Kradną i rabują, co popadnie. Dowódca zorganizował zasadzkę u wjazdu na drewniany most na rzece Kamienica znajdujący się blisko granicy wsi Kamienica i Zabrzeż. Partyzanci przepuścili samochód

osobowy. Po pewnym czasie na most wjechała ciężarówka wypełniona żołdakami hitlerowskimi.

Padła komenda dowódcy: „Ognia!”. Zagrały karabiny, pistolety maszynowe i broń krótka. Niemcy byli bez szans, niektórzy próbowali wyskakiwać z pojazdu, ginąc od kul i wpadając w płytki nurt rzeki. Zginęło ponad dwudziestu Niemców. Uratował się jeden żołnierz, zakrwawiony udawał trupa. To on zdał swym przełożonym relację z owej akcji.

W oddziale „Zawiszy” (Krystian Więckowski) w tym okresie znajdował się Rosjanin, który nad stosem trupów żołnierzy niemieckich wykrzykiwał pod ich adresem „job twoju mać”<sup>7</sup>. Stąd nasze podejrzenie, że sądeckie dowództwo niemieckie mogło przypuszczać, że tą krwawą jatkę zorganizował oddział sowiecki. Ja w tym czasie szkoliłem się w placówce „Kuźnia „ i pełniłem tam służbę wartowniczą. Docierały do mnie odgłosy strzelaniny. Później dowiedziałem się szczegółów akcji.

W 2007 roku uczestniczyłem w rocznicowych uroczystościach patriotycznych w Szczawie, poświęconych 1. Pułkowi Strzelców Podhalańskich AK. Rozmawiałem wtedy z kolegą, bardziej ode mnie doświadczonym, uczestnikiem tego zdarzenia, który o tej akcji powiedział: „To był majstersztyk”. Organizacja zasadzki była znakomita, ustawienie karabinów maszynowych i strzelców było wzorowe, a skuteczność strzelania do śmiertelnego wroga doskonała. Zdobyto przy okazji sporo broni.

Wróćę jeszcze do przesłuchania przyprowadzonego mężczyzny pod koniec grudnia 1944 r. w izbie naszej bazy. Z ogromnym zainteresowaniem śledziłem przebieg przesłuchania przez legendarnego por. „Przyjaciela”.

7. Działanie to był celowe, aby zmylić wszystkich możliwych świadków zajścia, bowiem za zabicie przez Niemca stosowane były poważne restrykcje w postaci rozstrzelań ludności cywilnej. Działania Sowietów nie były tak traktowane. (przyp. Marek Zapala).



ARCHIWUM LAMP.

505 / tj d-ca IV batalionu.  
2019/44

0105

313 (tj. do mjr. Borowego).

Dnia 18 b.m. o godz. 12.45 min. nasz patrol obserwacyjny zauważył samolot amerykański 4-70 motorowy typu „Liberator”, który spadł w lesie obok naszego obozu. Szedł samymi ładowaniami zaporowano kilka spoczków spadochronowych, po których natychmiast wysłałem patrol. W ciągu kilkunastu godzin zostali przyprowadzeni następujący piloci:

1. Dejewski Thaddeus F. ppor.
2. Feld Spencer F. ppor.
3. Nelson Robert M. ppor.
4. Sick Edward J.
5. Venable Walter B.
6. Behar Jack F.
7. Mac Cuttie William J.
8. Dallas Clarence H.
9. Racine Bernard C.
10. Beimbriak William J. Kapt samolotu ppor. jeszcze nie odmożony prawdopodobnie jest w obozie Ognia. Po trzynastym pobycie odpoczynku w moim obozie, przesłałem ich do 313.

1-155

(tj. kpt. Lampart d-ca  
IV batalionu)

Fot. Meldunek kpt. J. Zapłaty „Lamparta” do mjr. A. Stabrawy „Borowego”.  
Pierwszy na liście ppor. Thaddeus Dejewski był Polakiem z pochodzenia



Rozpoczął od sprawdzenia tożsamości przesłuchiwanego. Niemiec był pracownikiem Gestapo - tajnej policji niemieckiej. Przyznał się do tego - władał doskonałą polszczyzną. Powiedział, że dużo wie i może nam wiele pomóc, o ile pozwolimy mu na przetrwanie w lesie do końca wojny. Por. „Przyjaciel” zamyślił się na chwilę i zimno odparł: „Za późno się Pan zdecydował”.



Zima hulała na dobre, kiedy o północy 31 grudnia 1944 r. witaliśmy Nowy Rok 1945, składaliśmy sobie życzenia i strzelaliśmy na wiwat. Miałem wtedy colta. Doskonale się z niego strzelało. W drugim tygodniu stycznia 1945 r. wzywa mnie „Łazik” kpr. Jan Wąchała i powierza mi zadanie. Mam pochować leżącego w lesie nieboszczyka. Leżał w strumieniu, z którego braliśmy wodę. Wyruszam wykonać rozkaz. Wstępuję do pierwszego, lepszego domu, polecam iść za mną dwóm młodym mężczyznom. Mówię im, jakie narzędzia mają wziąć. Rozkazuję im załadować zwłoki na sanki. Wyraźnie bali się trupa leżącego z otwartymi oczami. Nie chcąc się wyklócać, sam dziarsko zabrałem się do pracy i położyłem go na saniach. Nie oglądając się za siebie, wjechaliśmy na szosę, kierując się w stronę lasu. Szosą jechał wóz konny z dłużycami sosnowymi. Woźnica dostrzegł trupa na sankach i ze strachu omal nie wjechał do rowu. Dalszy ciąg był prozaiczny. Chłopcy wykopali grób i pochowali byłego pracownika Gestapo zgodnie z poleceniem dowódcy.

Warto wspomnieć, że w owym czasie w tzw. „Republice Szczawskiej” - enklawie polskości, był niezły porządek i dyscyplina. Żołnierze 1. Pułku cieszyli się zaufaniem i uznaniem miejscowego społeczeństwa. Stąd lojalność i podporządkowanie działaniom partyzantów.

Zdarzył się przypadek, który zbulwersował całą okoliczną ludność. Złapano młodego złodzieja, który w tak trudnym dla Polaków czasie okradał ich. Sprawę rozwiązano krótko. Otrzymał wyrok śmierci, płakał przed jego wykonaniem. Takie były czasy, kary były bezwzględne.



Pod koniec grudnia wszystkich zaskoczyły nieoczekiwane wydarzenia. Przecieramy oczy ze zdumienia, a do naszej kwatery wchodzi dwóch przewodników a za nimi dziewięciu umundurowanych Amerykanów. Skąd oni się wzięli? Sprawa się szybko wyjaśniła.

Lotnicy amerykańscy na pokładzie superfortecy B52 (czterosilnikowy) bombardowali Niemców. Załoga liczyła 10 ludzi. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza uszkodziła im 3 silniki. Lecieli na dużej wysokości usiłując przedostać się na ostatnim silniku przez linię frontu do rosyjskiego sojusznika. W okolicy Nowego Targu zaczął się palić ostatni silnik. Padł rozkaz dowódcy samolotu „skakać”. Prawdopodobnie wyskoczyli na spadochronach w okolicy Ochotnicy.

Z oddziału „Lamparta” kpt. J. Zapały jeden z mieszkańców Ochotnicy - żołnierz naszego batalionu przyprowadził ich do nas. Rozmowom nie było końca. Okazało się, że zaginął dowódca samolotu. Jego zastępca, porucznik był pochodzenia polskiego.

Dobrze mówił po polsku, trochę jakby po staropolsku, a trochę gwarą góralską.

Był naszym tłumaczem we wszystkich sprawach. Pytaliśmy ich o wiele szczegółów dotyczących budowy samolotu, uzbrojenia itp. Nie zawsze nam odpowiadali na pytania, zasłaniając się tajemnicą wojskową. Cieszyli się naszym uznaniem, sympatią i pomocą w sprawach życiowych. To byli nasi sojusznicy i uratowali życie na naszych terenach, nie dostając się do niemieckiej niewoli.

11 stycznia 1945 r. „Łazik” wyznaczył mnie, „Matora” i Jana Marka „Jaksa” na patrol w okolicę Jazowska pod Starym Sączem. Zadaniem naszym było zgromadzenie 15 podwód (furmanki z woźnicami) i przywiezienie z tamtejszego opuszczonego gospodarstwa niemieckiego zakopanych tam ziemniaków. Każdy z nas zorganizował kilka furmanek z woźnicami. W jednym z gospodarstw natrafiłem na opór. Gospodyni oświadczyła, że męża nie ma. Zauważyłem przed wejściem do budynku pewien ruch wewnątrz. Rozejrzałem się po kuchni i widzę otwór z klapą wejścia do piwnicy. Otworzyłem pokrywę, odbezpieczyłem karabin, celuję w ciemny otwór spiżarni i mówię: „Nikogo tam nie ma, więc mogę w głąb strzelić”. W tym momencie usłyszałem z piwnicy głos górala: „Nie strzelajcie panoczku”. Gospodarz wyszedł na zewnątrz. Nie zamierzałem strzelać. Powiedziałem mu kilka gorzkich słów. W chwilę później, gdy trochę ochłonąłem, spokojnie mu wytłumaczyłem, że jesteśmy polskimi żołnierzami i liczymy na ich pomoc po to, by wykonać nałożone na nas rozkazy przełożonych. Tłumaczyłem mu, że walczymy o wolność i niepodległość, czyli o niego, jego rodzinę i o jego ziemię też.

Na miejsce dojechaliśmy 16 furmankami. Woźnice załadowali na nie ziemniaki. Wracamy. W pierwszym wozie jechał strzelec „Motor”, ja w przedostatnim, a w ostatniej zamykającej pochód furmance jechał „Jaksa”. Jest godzina pomiędzy drugą a trzecią w nocy. Lekko się zdrzemnąłem. Nasza kolumna znajduje się pod Łąckiem, w okolicy wsi Maszkowice. Woźnica mnie budzi. Patrzymy do tyłu. Jadą za nami samochody. Jakże? Jak wiadomo szosą poruszały się wyłącznie niemieckie pojazdy. Skaczymy razem z woźnicami z wozów i biegniemy w prawo, patrząc w stronę Łącka, w kierunku lasu. Z lewej strony Dunajec. Do lasu, według pobieżnej oceny, było około pół kilometra. W ciężkich płaszczach wojskowych i z bronią długą nie był to lekki bieg. Dotarliśmy bezpiecznie do lasu. Zacząłem liczyć samochody. Było ich ponad 30. Taka duża liczba pojazdów budziła w naszej trójce partyzantów podejrzenie, że Niemcy szykują większą operację, zwłaszcza, że pojazdy wypełnione były wojskiem. Kolumna niemiecka zatrzymała się. Jak się później dowiedzieliśmy, naszą kolumnę furmanek strzelec „Motor” wprowadził w Maszkowicach w boczną, wiejską drogę w kierunku Wolicy, na północ. Poza pierwszą podwodą, pozostałe furmanki konie ciągnęły bez woźniców. Na zakręcie jedna z furmanek wpadła do rowu, a ciągnący ją koń zatrzymał się. Niemcy dostrzegli to, zbudzili mieszkającego obok gazdę, usiłując dojsć, czyja to furmanka i skąd się wzięła. Gazda oczywiście niczego nie wiedział. Dali mu spokój i kolumna niemieckich samochodów ruszyła dalej w kierunku Łącka. Dzięki strzelcowi ps. „Motor” kartofle dotarły do zgrupowania.

Nasza trójka miała ochotę postrzelać do szkopów, lecz rozsądek przeważył i po krótkim marszu w kierunku północnym, przez las w pobliżu Maszkowic, zakwaterowaliśmy się u gościn-

nego gospodarza. Spaliśmy do późnego ranka.

Pamiętam, że gospodarz miał dwie ładne córki, które nam młodym wpadły w oko.

Podziękowaliśmy grzecznie gospodarzowi za gościnę, pożegnaliśmy ich i ruszyliśmy do bazy w Szczawie. Mieliśmy do pokonania 20 km po bezdrożach i ścieżkach górskich. Późnym popołudniem dotarliśmy bez przygód i zameldowaliśmy się u naszego dowódcy „Łazika”. Przekazaliśmy dokładne informacje dotyczące przegrupowania Niemców, które mogliśmy zaobserwować poprzedniego dnia.

12 stycznia 1945 r. byliśmy w rejonie zakwaterowania 1. batalionu 1. psp AK. Dowódca batalionu porucznik „Andrzej” na podstawie meldunków, w tym i naszych, oczekiwał natarcia Niemców na nasz oddział. Naszą drużynę gospodarczą pozostawił jako odwód na północnych stokach góry nad rzeką Szczawą. Kwaterowaliśmy w budynku na stoku, opadającym w kierunku wschodnim, ku Wyrębiskom Szczawskim. W zasadzie ówczesna moja wiedza dotyczyła wyłącznie tego, co robiła moja drużyna na wyznaczonym odcinku. O działaniu w obrębie całego batalionu dowiedziałem się wiele lat później ze wspomnień naszego dowódcy 1. batalionu, późniejszego kapitana Lipczewskiego „Andrzeja”.



Po przemianach politycznych w Polsce w 1989 r. w pracach dyplomowych ówczesnej Akademii Sztabu Generalnego, obecnie Akademii Obrony Narodowej, zaczęła pojawiać się tematyka walk i bitew oddziałów AK. Byłem przed wielu laty w odwiedzinach

u mojego przyjaciela, ówczesnego zastępcy szefa Katedry Strategii Wojennej, płk. dr. hab. n. wojskowych Juliana Kaczmarka i znalazłem ciekawą informację o pracy dyplomowej jednego z absolwentów akademii. Tytuł pracy mnie zaintrygował. Brzmiał „Bitwa pod Szczawą 13-14 stycznia 1945 r.” Przecież brałem w niej udział jako młody żołnierz AK. Dotyczyło to oczywiście oddziałów 1/1 psp AK walczących z Wehrmachtem.

Otóż miałem okazję zapoznać się w szczegółach, jak przebiegały walki całości oddziału. Praca dyplomowa opierała się o informacje uzyskane przez autora od naszego ówczesnego dowódcy batalionu, kpt. Lipczewskiego.

Dowódca 1 psp AK postawił dowódcy 1-go batalionu zadanie zaatakowania wycofujących się pododdziałów niemieckich na szosie Nowy Sącz - Limanowa - Nowy Targ. Celem było zablokowanie ruchu na tym kierunku. Prawdopodobnie informacja o planach 1-go batalionu dotarła do miejscowych władz i wojsk niemieckich. Hitlerowcy postanowili więc uderzyć na bazę partyzancką w Szczawie, związać walką partyzantów i odciągnąć nas od szosy Nowy Sącz - Limanowa - Nowy Targ. W ten sposób zapewniliby sobie swobodę ruchu na tej ważnej wtedy arterii komunikacyjnej.

Wieczorem 12 stycznia do naszego dowództwa dotarła informacja, że w siłach niemieckich w Łącku znajduje się także batalion SS-Alpenjager (strzelcy alpejscy), dobrze przygotowani do walki w górach. Kpt. Lipczewski zaostrzył gotowość bojową w pododdziałach batalionu. To było oznaką przezorności dowódcy. 13 stycznia o godz. 21 dowódca batalionu otrzymał ze stałego posterunku alarmowego w Kamienicy (os. Kramarzędka) meldunek, że do garnizonu dotarły wojska nieprzyjaciela.

Przedwojenne przedsiębiorstwo górnicze „Saturn” z Czeglodzi posiadało dwa tartaki (w Bukówce k. Szczawy i na Kramarzówce), między którymi zbudowano stałą łączność telefoniczną. W 1944 r. wykorzystywano tę linię telefoniczną dla szybkiego obiegu informacji w 1. batalionie. Istotą planu strategicznego było to, że żołnierz odpowiadający za łączność w Kamienicy z chwilą pojawienia się nieprzyjaciela związał aparat telefoniczny i oddalał się od Kramarzówki w bezpieczne miejsce. O tym wiedziałem od dawna.



Po meldunku, że w Kamienicy są pododdziały Wehrmachtu i meldunkach naszych patroli, o godz. 5 kpt. Lipczewski wyliczył, że Niemcy pojawią się po 7 rano w rejonie Szczawy. Dowódca batalionu zmuszony był przyjąć walkę obronną, gdyż w tak krótkim czasie nie zdołaliby ewakuować magazynów, głównie broni. Nie mógł także wycofać oddziałów partyzanckich z rejonu Szczawy, gdyż obawiał się, że Niemcy przeprowadzą pacyfikację Szczawy i dokonają zbrodniczego odwetu na jej mieszkańcach.

Ugrupowanie bojowe przyjęte przez dowódcę:

1. kompania (ok. 100 żołnierzy) miała zorganizować rubież zaporową na skraju lasu wzdłuż drogi Szczawa-Kamienica z zadaniem zaatakowania sił niemieckich na podejściach do Szczawy, szczególnie zaś do tartaku, w którym były magazyny. Kompania ta miała ponadto wciągnąć siły niemieckie w dolinę Szczawy i związać je walką, a tym samym odciągnąć je od samej Szczawy i tartaku.



2. kompania (ok. 120 żołnierzy) miała zorganizować rubież zaporową na skraju zalesionego wzgórza nad tartakiem. Jej zadanie polegało na zamknięciu Niemcom drogi w kierunku północnym i odcięciu im dojścia do tartaku. Jednocześnie miała ona likwidować siły niemieckie w dolinie Szczawy.

3. kompania (ok. 60 żołnierzy) zorganizowana doraźnie z części sił 1. kompanii oraz plutonu 11. kompanii 4. batalionu, który przebywał chwilowo w tym rejonie, miała zorganizować rubież zaporową zamykającą drogę podejścia do Lubomierza.

W odwodzie pozostała drużyna gospodarcza. Zgodnie z tym planem do godz. 7 poszczególne pododdziały zajęły nakazane im zgrupowanie i wystawiły ubezpieczenia. Wcześniej w celu dokładniejszego rozpoznania sił niemieckich, jego ruchu i zamiaru, rtm. „Andrzej” wysłał patrol dwóch partyzantów w kierunku Kamienicy pod dowództwem kpr. podchorążego „Wiesława”<sup>8</sup>. Na drodze między Szczawą a Kamienicą patrol ten natknął się na Niemców. Doszło do strzelaniny, w wyniku której ranny został kpr. pchor. „Wiesław”. Patrol przeszedł do odwrotu. Ranny „Wiesław” ukrył się w piwnicy na skraju Szczawy. Tam odnaleziony przez niemieckich żołnierzy został okrutnie zamordowany. Zadali mu 48 ran kłutych bagnetem. (Żołnierz w polskim mundurze). To tragiczne zdarzenie odkryliśmy po bitwie.

Po starciu z naszym patrolem Niemcy tyralierą posuwali się w kierunku Szczawy. Kiedy znajdowali się około 300 m od rubieży obronnej 1. kompanii, nasi żołnierze otworzyli ogień. Hitlerowcy uderzyli jednak na prawe skrzydło 1. kompanii, które wysunięte było najdalej na południe i zaczęli je spychać w kierunku północnym, w rejon obrony 2. kompanii. Siły nie-

8. pchor. Jan Kaszycki (przyp. Marek Zapala)

mieckie zostały wciągnięte w dolinę Szczawy. W rejonie Bukówki 1. i 2. kompania silnym ogniem broni maszynowej, dwóch działek i dwóch moździerzy ostrzelały żołnierzy okupanta. Niemieckie natarcie, powtórzone jeszcze trzykrotnie, załamało się. Niemcy przeszli do odwrotu i wycofując się zagrozili, że następnego dnia dokonają w Szczawie pacyfikacji ludności. Dowódca batalionu postanowił nie dopuścić do realizacji niemieckich planów i w godzinach wieczornych 13 stycznia zorganizował obronę Szczawy.



Będąc żołnierzem oddziału gospodarczego, nie brałem bezpośredniego udziału w centrum walk o Szczawę. Całościowy obraz bitwy dotarł do mnie kilka lat po wojnie.



Fot. Szczawa - tyłem z prawej strony z białym paskiem - dowódca 1 psp AK A. Stabrawa „Borowy” (po zasadce Sowietów na Gruszowcu został ranny w nogę - jest w okresie rehabilitacji z laską; bez czapki cichociemny Perekładowski „Przyjaciół”; z lewej tyłem prawdopodobnie z-ca 1 psp AK rtm. Włodzimierz Budarkiewicz.

Chciałbym dodać, co się działo z moją drużyną gospodarczą pod dowództwem kpr. „Łazika”. Jeśli dobrze pamiętam, ok. godziny 5 został ogłoszony u nas alarm. Zostałem wyznaczony do służby wartowniczej na stoku, obok budynku mieszkalnego. Po dwóch godzinach warty zmienił mnie jeden z kolegów. Wracam do budynku, na kwatery. W tym momencie Niemcy otworzyli do mnie ogień z karabinu maszynowego. Wskoczyłem do budynku i wraz żołnierzami naszej drużyny padliśmy na podłogę. W pomieszczeniu była gospodyni z dzieckiem. Oboje zaczęli krzyczeć i lamentować ze strachu. Niemcy przerwali na chwilę ostrzał w naszym kierunku. Postanowiliśmy wycofać się z budynku. Kolega zaproponował skok przez drzwi. Odpowiedziałem mu błyskawicznie, że obsługa niemieckiego karabinu maszynowego już się wstrzelała i tylko na nas czekają. Musimy znaleźć lepszą drogę odwrotu. Skoczyłem na strych, wybiłem nogą kilka desek tylnej ściany budynku. Przez otwór wydostaliśmy się na zewnątrz, niewidoczni dla Niemców. Hitlerowcy jednak zauważyli nas, kiedy zaczęliśmy zajmować stanowiska strzeleckie i wznowili ostrzał, przyduśzając nas do polnej drogi górskiej, która stanowiła naturalną trasę.

Niemcy wycofali się. Spokojnie doczekaliśmy wieczoru, po czym część batalionu, która nie broniła Szczawy, wyruszyła w długi, nocny marsz w kierunku Limanowej.

W tym miejscu warto przypomnieć, jaka była organizacja 1. Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej. W jego skład wchodziły:

1. batalion kpt. „Andrzeja” (J.W. Lipczewski)
2. batalion kpt. „Filipa” (Julian Krzewicki)
3. batalion kpt. „Michała” (Mieczysław Przybylski)

4. batalion mjr „Lamparta” (Julian Zapała) oraz specjalne oddziały Kedywu.

Wracając po tylu latach do oceny bitwy pod Szczawą, bogatszy doświadczeniem i wyszkoleniem wojskowym, pragnę skonstatować, że mieliśmy wspaniałych dowódców (kandydatów na generałów w Wojsku Polskim) i bardzo wielu odważnych, znakomitych żołnierzy. Po walce dowódca 1 psp AK, mjr/ppłk „Borowy” (Adam Stabrawa) wydał rozkaz, w którym m. in. pisał: „W dniach 13 i 14 stycznia 1945 r. 1. batalion stoczył walkę z Niemcami, usiłującymi zlikwidować obóz 1. batalionu oraz spacyfikować wieś Szczawa. Wspaniała postawa żołnierzy wszystkich stopni batalionu przekreśliła zamiary nieprzyjaciela. Czterokrotny szturm Niemców załamał się w ogniu batalionu. Zdecydowana postawa żołnierzy zmusiła nieprzyjaciela do odstąpienia od dalszej walki. Nieprzyjaciel nie uzyskał żadnych wyników”.

Warto dodać za St. Trzeciakiem, który w swych relacjach podaje, że straty niemieckie wynosiły 200 zabitych, w co ja „stary” żołnierz nie wierzę. Bardziej zbliżone do rzeczywistości są oceny Włodzimierza Wnuka, który stwierdził, że Niemcy stracili 52 żołnierzy. Po naszej stronie zginął podchor. „Wiesław” i jeden żołnierz został ranny. W tejże pracy Wnuk stwierdza: „Niemcy w Bitwie pod Szczawą zaangażowali do walki z jednym batalionem siły pięciu batalionów. Ponieważ przyjechali do Kamienicy 20 samochodami, należy moim zdaniem przyjąć, że ich siły nie przekraczały 500-600 osób”<sup>9</sup>.

Siły 1. batalionu liczyły 310 żołnierzy, a więc stosunek wynosił niespełna 2:1 na korzyść Niemców, co w świetle współczesnej taktyki jest za mało, aby osiągnąć sukces. Poza tym bardzo ważne

9. Włodzimierz Wnuk „Walka podziemna na szczytach”, 1965 r. s. 228

było morale naszej partyzanckiej strony, stan wyszkolenia i posiadane uzbrojenie. Pamiętam wypowiedź jednego z naszych partyzantów, że kiedy użyliśmy moździerzy słyszał, jak niemieccy żołnierze krzyknęli: „Minenwerfer” (granatnik, moździerz). To była bardzo skuteczna broń.

Zawsze uważałem, zwłaszcza po bitwie pod Szczawą, że dowódca Jan Wojciech Lipczewski ps. „Andrzej”, „Wierzyca” w tej walce wykazał się wielkim talentem dowódczym i po wojnie powinien zostać generałem w odrodzonym Wojsku Polskim. Tak się nie stało. Po wojnie my wszyscy, byli żołnierze Armii Krajowej, byliśmy prześladowani, więzieni, katowani bez perspektyw na przyszłość.

Przywołuję w pamięci, jak późnym wieczorem po walkach bez zezwolenia dowódcy, namówiłem kolegę partyzanta, żebyśmy zeszli na dół i obejrzeliby naszą dawną kwaterę. Była pusta i potężnie ostrzelana przez Niemców. Wewnątrz mysz by się nie prześlizgnęła. Po co Niemcy tyle energii władowali, by strzelać tysiącami pocisków do pustego budynku?



18 stycznia 1945 r. „Łazik” wysłał mnie wraz z dwoma kolegami na patrol w okolice Słopnic. Uzbrojeni byliśmy w jeden pistolet maszynowy i dwa karabiny. Po wykonaniu zadania, dowiedzieliśmy się od okolicznych mieszkańców, że Limanowa jest już wyzwolona spod władzy okupanta hitlerowskiego i przez miasto maszerują kolumny wojsk radzieckich. Zgodnie krzyknęliśmy: „Idziemy do Limanowej, naszego miasta powiatowego!”. Po dwóch godzinach marszu dotarliśmy do rynku w Limanowej.



18-19.01.1945

dwu. gosp.

- 25) Łazik kipa. ✓
- 26) Bez str. ✓
- 27) Matar str. ✓
- 28) Długi str. ✓
- 29) Manian str. ✓ (M. Wojcik)
- 30) Bonta str. ✓
- 31) Kwazier str. ✓
- 32) Jastrząb str. ✓ (Kazi. Przymusiński)
- 33) Gwidzi str. ✓
- 34) Istrog str. ✓
- 35) Soana str. ✓

pestr. dżemosis.

- 36) Witold pelow. ✓
- 37) Mś str. ✓
- 38) Stozek str. ✓
- 39) Wamek str. ✓
- 40) Fort str. ✓
- 41) Knet str. ✓
- 42) Szypiel str. ✓
- 43) Jasnij str. ✓

303  
 Ostrymolem  
 20045 860 obywateli  
 Dami / ośmimiet. kresidkinyal oblat.  
 Szpanow / kresidkinyal.



Własnonocnym podpisem stwierdzam  
 stan pocztu 43 ludzi.

Wrenyaport.  
 d-ca 202

Do pobrania naleznosci pieniznej na wiez  
 podany stan upomocniom pelow. Szpanowa.

Wrenyaport.

Fot. Kserokopia listy partyzantów, którzy otrzymali po 20 dolarów na dalszą drogę w związku z rozwiązaniem Armii Krajowej. Ósmym w kolejności listy jestem ja, ps. „Jastrząb”

Mieszkańcy radowali się, że wreszcie nie ma Niemców. Zobaczyli nas, polskich żołnierzy, w porządnym mundurach z bronią i białoczerwonymi opaskami. Okazywali ogromny entuzjazm, obejmowali nas, ściskali, a mężczyźni zaczęli podrzucać nas z radości do góry. Takiej spontanicznie wyrażanej radości, euforii z uzyskania wolności, mimo, że piszę te słowa jako dziewięćdziesięcioletni mężczyzna, nigdy nie zapomnę.

Były pytania i odpowiedzi, skąd jesteśmy, ilu nas jest? Liczyliśmy się z interwencją NKWD, lecz mieliśmy to w nosie. Nie damy się. Właściciel miejscowej apteki zaprosił nas do swego mieszkania. Zaczęły się długie rodaków rozmowy. Wspólnie szukaliśmy odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co teraz będzie? Jaka będzie nowa władza? Nowa Polska? Po południu podziękowaliśmy gospodarzowi za herbatę z ciasteczkami, pożegnaliśmy go i wieczorem wróciliśmy do bazy rozlokowanej wiele kilometrów na północ od Szczawy.



Na uwagę zasługuje pewne wydarzenie. Kpr. Łazik" (Jan Wąchała, pośmiertnie awansowany na ppor. AK) wezwał nas, swoich dawnych żołnierzy na nieoficjalną naradę. Podczas tego spotkania rozważaliśmy różne kwestie związane z naszą przyszłością, w tym stosunek do władzy ludowej. To dla nas były bardzo trudne rozmowy w trudnym czasie. Niemniej każdy z nas musiał wybrać swoją nową drogę życia. Niektórzy nie godzili się na wpływy sowieckie. Byli tacy, którzy wrócili do lasu i podejmowali walkę z władzą ludową.



Pomyślałem, że przecież naszym zadaniem – żołnierzy AK – była walka z okupantem hitlerowskim i ochrona naszych rodaków. W moich wspomnieniach nie opisałem wszystkiego. My młodzi rwaliśmy się do walki. Przełożeni nas powstrzymywali i mówili: „Wasza krew będzie jeszcze potrzebna. Od wschodu idzie drugi nasz wróg”. To nazywano w PRL-u teorią dwóch wrogów.

Drugim aspektem sprawy jest także fakt, że nasi przełożeni oszczędzali nas. Tak, czy inaczej okres powojenny nie był dla Akowców łaskawy.

Dziewiętnastego stycznia „łazik” przekazał nam informację o rozwiązaniu Armii Krajowej. Mamy się ujawnić nowej władzy i być w gotowości do stawienia się na rozkaz, o ile taka potrzeba zaistnieje. Każdy z nas otrzymał z kasy pułkowej po dwadzieścia dolarów na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb osobistych. Moje dolary wręczyłem Matce, kiedy wróciłem do domu. Te pieniądze były dla naszej rodziny bardzo dużym zastrzykiem w morzu potrzeb. Kraj był całkowicie zniszczony i zdobycie podstawowych artykułów pierwszej potrzeby graniczyło z cudem. Cała nasza rodzina marzyła o jak najszybszym powrocie do Wielkopolski.

Po kilkunastu dniach, ujawniłem się, zdałem broń i amunicję w Urzędzie Gminy Kamienica.

To był czas radości.

Radości z zakończenia wojny.

Radości z możliwości powrotu do rodzinnego domu.

Radości, że jesteśmy wszyscy czworo cali i zdrowi.

Tak zakończyła się moja partyzancka droga w szeregach Armii Krajowej.

Wracając do Poznania, najpierw jechaliśmy rozklekotaną ciężarówką do Krakowa, a następnie pociągiem na zachód. Jak wyjeżdżaliśmy z Kamienicy, widzieliśmy tysiące Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i przedstawicieli innych narodowości, jak szli pieszo w kierunku Nowego Sącza i dalej na wschód do swoich domów.

Osobiście wróciłem do polskiego wojska, lecz dopiero po latach wytężonej nauki w gimnazjum i liceum.

Popełniłem błąd, że po powrocie do Wielkopolski ujawniłem się i później, podczas służby wojskowej, nie miałem przed sobą kariery usłanej różami. Dotknęły mnie represje w postaci obniżenia stopnia oficerskiego. Wielu Akowców było prześladowanych i wtrącanych do więzień. Na szczęście po zmianach politycznych w Polsce po 1989 roku sytuacja zmieniła się na lepsze.





## **BIOGRAFIA**

Płk Kazimierz Przymusiński, urodzony 5 lutego 1927 roku w Jarocinie poznańskim, w rodzinie inteligenckiej (ojciec - urzędnik pocztowy, matka - krawcowa). Rodzina była przykładem dla innych, wychowywała go i jego młodszego o rok brata w duchu patriotyzmu, i głębokiego umiłowania Ojczyzny. W roku 1934 rozpoczął szkołę, powszechną do września 1939 roku ukończył 5 klas. W roku 1933 ojciec Kazimierza Przymusińskiego został przeniesiony do urzędu w Poznaniu, w związku z czym cała rodzina przeniosła się wraz z nim.

W czasie okupacji w jego życiu zaszły gwałtowne zmiany, kiedy pewnego poranka w grudniu 1939 roku Niemcy zapukali do mieszkania jego rodziny i kazali spakować się w ciągu 10 minut, i opuścić dom. Cała rodzina trafiła do obozu przejściowego pod Poznaniem, a stamtąd po kilku dniach do pociągu towarowego,

którym dojechali do Limanowej na Podkarpaciu. Z Limanowej rodzinę Kazimierza Przymusińskiego przewieziono furmankami do oddalonej o 24 kilometry gminy Kamienica koło Łącka. Mieli tam bardzo trudne życie. Nazywani byli przez górali „wysiedlonymi”, ojciec nie miał pracy, nie mieli mieszkania i w zasadzie niczego, co potrzebne było do codziennej egzystencji rodziny. W tym czasie kuzyni rodziny z poznańskiego pomagali, przysyłając odzież i inne niezbędne artykuły.

Sytuacja poprawiła się dopiero w 1942 roku. Ojciec Kazimierza Przymusińskiego zaczął wówczas prowadzić zlewnię mleka. Okupant niemiecki zażądał bowiem, by od każdej krowy w gminie odprowadzana była odpowiednia ilość mleka na rzecz Niemców.

W tym czasie ojciec kupił Przymusińskiemu narty i razem z kolegą młody Kazimierz szalał w górach gorceńskich. Uczył się na tajnych kompletach w domach prywatnych i dojrzał, by w 1944 roku dostać się do oddziału Armii Krajowej do porucznika „Zawiszy”. Tam przeszedł swój chrzest bojowy w bitwie z Niemcami. Wówczas to pierwszy raz miał w ręku karabin typu Mauzer, z którego uczył się strzelać.

Od lipca 1944 r. do lutego 1945 r. walczył w 1. batalionie 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, co opisał w pamiętniku „Okruchy wspomnień młodego partyzanta z okresu działalności w ruchu oporu, 1/1 psp AK, VII 1944-II 1945”. Po rozwiązaniu Armii Krajowej w lutym 1945 roku wrócił z rodziną do Jarocina, gdyż ich dom w Poznaniu został spalony.

W latach 1945-1947 kontynuował naukę w szkole. W tym czasie działał w harcerstwie, m.in. jako drużynowy w miejscowości Góra koło Jarocina. Ponadto aktywnie uprawiał sport - koszy-

kówkę i siatkówkę.

W latach 1947-1949 służył w wojsku, wstępując do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu. Po jej ukończeniu został skierowany do 34. Pułku Artylerii w Kołobrzegu. Ze względu na jego przeszłość akowca po ukończeniu szkoły otrzymał stopień chorążego pomimo tego, że miał celujące wyniki w nauce. To jednak nie było najgorsze, co mogło go spotkać – cieszył się, że nie został zesłany na Sybir. W jednostce wojskowej dość szybko doceniono jego umiejętności i został awansowany. W 1954 roku był już kapitanem Wojska Polskiego.

W 1951 r. Kazimierz Przymusiński zawarł związek małżeński, z którego, miał troje dzieci. Jeden syn zmarł w wieku 10 lat. W latach 1957-1962 studiował w Wojskowej Akademii Technicznej na Wydziale Sapersko-Geodezyjnym. Po uzyskaniu stopnia magistra inżyniera geodezji wojskowej i stopnia majora Wojska Polskiego, który otrzymał w czasie studiów, został skierowany do Ośrodka Szkolenia Artylerii w Orzyszu na stanowisko wykładowcy topogeodezji. Służył tam dość długo, awansując do stopnia podpułkownika.

W latach 1973-1974 ukończył roczne studia podyplomowe na Wydziale Cybernetyki, w związku z tym, że został mianowany na stanowisko kierownika zespołu naukowo-badawczego RKPU w korpusie Wojsk Rakietowych. W 1975 roku został przeniesiony służbowo do Wojskowego Instytutu Łączności w Zegrzu Południowym (obecny powiat legionowski), gdzie były prowadzone dalsze prace badawcze.

W 1981 roku otrzymał stopień pułkownika Wojska Polskiego. Cztery razy był na poligonie w Kazachstanie z raketami operacyjno-taktycznymi w celach szkoleniowych. W Instytucie

jako wojskowy pracował do emerytury w 1987 roku. Później jeszcze przez cztery lata pracował tam jako pracownik cywilny.

Po zakończeniu kariery zawodowej Kazimierz Przymusiński zajął się pracą społeczną w Kole Kombatantów w Legionowie. Przez dwie kadencje był Prezesem Zarządu Koła Powiatowego Związku Kombatantów i Byłych Więźniów Politycznych Rzeczypospolitej Polskiej.

W 2015 roku przeżył udar niedokrwienny mózgu, w związku z czym w 2017 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat zrezygnował z funkcji i przez członków Koła został mianowany Honorowym Prezesem Koła, którym pozostaje do dziś.

Mimo zaawansowanego wieku przez lata aktywnie uczestniczył i nadal uczestniczy w życiu społecznym powiatu legionowskiego, w szczególności w uroczystościach patriotycznych, samorządowych i państwowych. Za swoją działalność społeczną został wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi, wojskowymi i związkowymi.



GENERALGOUVERNEMENT FÜR DIE BESETZTEN POLNISCHEN GEBIETE  
GENERALNE GUBERNATORSTWO DLA OKUPOWANYCH POLSKICH OBSZARÓW

*Cetero* -klassige öffentliche polnische Volksschule  
-klasowa polska publiczna szkoła powszechna

Nr. *1* Name — im. *Kazimierz*  
in *Warszawa* Kreis *Lusawowa*  
w *Warszawa* powiat  
Nr. *15* Schuljahr *1940/41*  
Rok szkolny

SCHULZEUGNIS  
ŚWIADECTWO SZKOLNE

*Przymusiński Kazimierz*

geboren den *5. tutege* 19 *27* in *Warszawa Pomorski*  
urodzon z dnia *5. tutege* w *Warszawa Pomorski*  
Kreis *Warszawa* Konfession *prym - kat*  
powiat *Warszawa* wyznania

besuchte die *1* Klasse und erhielt für das Schuljahr 19 *40/41* nachstehendes Zeugnis:  
uczęszczał do klasy *1* i otrzymał za rok szkolny następujące świadectwo:

Betragen	.....	sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
Religion	.....	religia	<i>dobry</i>
Polnische Sprache	.....	język polski	<i>bardzo dobry</i>
..... Sprache	.....	język	.....
Geschichte	.....	historia	.....
Erdkunde	.....	geografia	<i>bardzo dobry</i>
Naturkunde	.....	nauka o przyrodzie	<i>bardzo dobry</i>
Rechnen u. Raumlehre	.....	arytmetyka z geometrią	<i>bardzo dobry</i>
Zeichnen	.....	rysunki	<i>bardzo dobry</i>
Werkunterricht	.....	zajęcia praktyczne	<i>bardzo dobry</i>
Gesang	.....	śpiew	<i>bardzo dobry</i>
Leibesübungen	.....	ćwiczenia cieleśne	<i>bardzo dobry</i>
Weibliche Handarbeiten	.....	roboty kobiece	.....

Versäumte Stunden *du* *31* davon unentschuldig *31*  
Liczba opuszczonych godzin w tym nieusprawiedliwionych

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler- die Schülerin in die.....Klasse ..... versetzt.  
Na podstawie powyższego świadectwa uczeń-uczennica *nie* przechodzi do *wi* klasy.

*to* *Kazimierz* den *28. tutege* 19 *41*  
*Jan A. Chura* Klassenlehrer — opiekun klasy  
*Henryk Piorkowski* Schulleiter — kierownik szkoły



Urteile: sehr gut, gut, befriedigend, nicht genügend.  
Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Fot. Świadectwo szkolne Kazimierza Przymusińskiego



## **BIBLIOGRAFIA:**

1. Lipczewski W., Budarkiewicz W. (1986), Wspomnienia partyzanta podhalańskiego, Nowy Targ, s. 73-82;
2. Relacja: J. Dembskiego, S. Trzecieckiego, J. Cieślaka;
3. Praca zbiorowa pod redakcją płk. dypl. Stanisława Lityńskiego i Adama Sawczyńskiego (1950), Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej t. III Armia Krajowa;
4. Mitas-Godecka B. (2001), Partyzantka w Beskidzie Sądeckim, Wyd. Społeczny Komitet Odnowy Miejsc Pamięci Narodowej przy Kole Miejskim Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych w Nowym Sączu;
5. Własne przeżycia.

## **SPIS FOTOGRAFII:**

str. 8, 19, 22 - zdjęcia ze zbiorów Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa "Nila" w Krakowie, ul. Wita Stwosza 12;  
str. 10 - zdjęcie ze zbiorów Muzeum 1 Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej w Szczawie;  
str. 24, 43 - zdjęcia ze zbiorów Tadeusza Morawy;  
str. 34 - zdjęcie ze zbiorów Marka Zapały.  
Fotografie na okładce ze zbiorów Marka Zapały, Tadeusza Morawy oraz Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa "Nila" w Krakowie.

